Pozdrowienia od mieszkanki Atlantydy...

...czyli Moja prywatna lista Millenium

Mieszkańcy Atlantydy

Cały świat został stworzony dla nas.

Dla nas Sumerowie budowali swoje miasta.
Grecy rzeźbili w słońcu posągi Ateny.
Egipscy kapłani ukrywali tajemnice gwiazd.
Mędrcy Izraela czytali Księgę Rodzaju.
Safona pisała swój najpiękniejszy, zagubiony wiersz.

Dla nas odkryto ogień
I malowano wymarłe zwierzęta
Na ścianach zielonych jaskiń.

Dla ciebie i dla mnie ukrywano dzieci w dziuplach drzew,
Gdy nadpływały łodzie Wikingów.
Dla ciebie umierał Spartakus
I rodził się następca tronu.

Także dla nas przez lata robili to, o czym nie wiemy,
Ci, których nigdy nie poznamy.
Którym spalono księgi i rozbito gliniane naczynia.
Ich imiona są na kamiennych płytach
Pod dnem oceanu.
A oni drgają w wodzie drobnym planktonem
Wśród cytrynowych ryb.

Inni zmienili się w zieleń, piasek i wiatr
Latają ważką nad wodą.
Gaszą jesiennym kurzem ostatnie ogniska.
Czerwonym piaskiem zasypują nory lisów.
Wyginają się czubkami palm, liśćmi dębów i brzóz.

W najbliższych i najdalszych miejscach,
W których nas jeszcze nie było,
Przeglądają się w twoich oczach.
Toczą się kulą
Niewymiernej liczby "pi".

I piszą w nas wiersze o sobie i o nas,

Mieszkańcach wszystkich
Atlantyd.

"Aphilommen"

Jest rok 1999. W piątek, 19 listopada, zaczynam pisać ten tekst.

Powtarzam datę: 19.11.1999. Następną datą mającą z tą coś wspólnego będzie 1.1.3111. W pierwszej jedynki i dziewiątki, w drugiej jedynki i trójki. Tu i tu same nieparzyste. Od jutra przez ponad tysiąc lat będziemy żyć w czasach niejako dwoistych. Jeszcze tylko 30.11.1999 nie ma w sobie dwójki. A pomiędzy, potem, do dnia 1 stycznia roku 3000 już wszystkie. Magia liczb. Jak jej nie ulec?

A zatem najpierw o liczbach: Wszechświat jest, od atomu po gwiezdne galaktyki, idealnie zorganizowany. Od zarania dziejów człowiek próbuje najprzeróżniejszymi metodami rozgryźć ten porządek. Numerologia jest jedną z nich. Mówi o mistyce liczb: "*na początku była jedność, po czym drgnął Czas i w wyniku pierwszego wahnięcia powstała para, która dała początek uniwersalnej geometrii*". Jedynka odpowiada boskiemu "*niech się stanie światło!*", jest źródłem ducha. Dwójka "*i Bóg rozdzielił...*": dzień od nocy, niebo od ziemi, zło od dobra, kobietę od mężczyzny. Z matki i ojca rodzi się dziecko: "*pierwsza triada*". Trójka to spełnienie, to ciało, dusza i duch, to trzy warstwy świadomości... Magia. Pełna magia.

Ludzie szaleją: od tego, jak spędzić Sylwestra 1999 na 2000 po apokaliptyczne wizje końca świata. I nic nie pomoże, że tysiąclecie skończy się dopiero za rok, że kalendarz to sprawa umowna, że dla Żydów 31.12.1999 na 1.1.2000 to zwyczajny dzień roku 5760, że Islam będzie obchodzić początek roku 17 kwietnia a Chińczycy, Japończycy, Tybetańczycy to już szkoda gadać, zupełnie inne kalendarzowe rachuby. A jednak: ŚWIAT przez dwadzieścia cztery godziny będzie żegnał rok 1999 a witał 2000 i z całą pewnością będzie to zabawa jakiej świat nie widział.

Będą bilanse obliczane według najróżniejszego klucza, będą przepowiednie na przyszłość, będą nawoływania do ukorzenia się i wizje pełne nadziei.

Ja chciałabym zrobić podsumowanie jak najbardziej osobiste. Z punktu widzenia osoby, która ma szczęście żyć w tak ciekawym momencie w historii świata. A także z punktu widzenia kobiety. Oraz z punktu widzenia kogoś, kogo nie było przez wieczność i nie będzie przez następną wieczność. Piszę z otchłani czasu. Z kwitnącej Atlantydy, która wraz z jej mieszkańcami zginie jak każda kolejna Atlantyda. *Żeby* zrobić miejsce następnej.

Za motto mojego "listu o przeszłości do przyszłości" wzięłam wiersz poety, który zwie siebie "Aphilommenem." Nie znam go osobiście. To wirtualna znajomość [1]. (Wrócę jeszcze później do tematu wirtualności.) Bo, jak w tym wierszu, wszystko co się wydarzyło dotychczas, cała historia za nami, wydarzyła się dla nas, my jesteśmy na jej końcu. W ostatniej sekundzie tej historii doszła do tego rzeczywistość wirtualna. Coś absolutnie nowego. Coś, co właściwie jest już wynalazkiem trzeciego tysiąclecia. I tysiąclecie to otwiera.

Oprę się na kilku datach, będę je wymieniać chronologicznie tak, jak poznawałam świat. Od tych najbliższych mi kręgów po coraz dalsze i dalsze. Publikacji wymieniających dokonania tysiąclecia w kolejności chronologicznej ukazuje się już w tej chwili mnóstwo. Ja zrobię wręcz przeciwnie. Siebie uczynię środkiem. Sądzę, że tak jest najuczciwiej. Tak, jak każdy jest centrum *swojego* świata. Nie, nie pępek mam na myśli. "*Uratować jednego człowieka, to uratować cały świat...* ", tą myślą zdobna jest pewna chlubna aleja drzew w Jerozolimie, urosła dla ostrzegającej pamięci o jednej z najbarwniejszych Atlantyd, jaka zdobiła świat. Więc *centrum* świata każdego jej mieszkańca, w sensie zwielokrotnionym przez każdego z tych światów i przez to, że każdy wie *swoje* wszystko.

Ja... ?

Ja jestem dzieckiem lat pięćdziesiątych XX wieku. Świat był wówczas podzielony na dwa obozy. Kapitalistyczny i komunistyczny. O Trzecim Świecie nie mówiło się jeszcze wtedy tak powszechnie, choć pojęcie to też zrodziło się w latach pięćdziesiątych. A więc świat podzielony był na dwa wrogie sobie światy. Podział nastąpił w wyniku największej wojny w dotychczasowej historii, drugiej wojny światowej. Urodziłam się w tym drugim świecie, komunistycznym. Te dwa fakty naznaczyły mnie, choć jako dziecko nie wiedziałam na ten temat dużo. Ale

pamiętam rywalizację tych dwóch światów. Zwłaszcza o "podbicie" kosmosu.

Tak, to pamiętam najbardziej. Jako dziecko patrzyłam na Księżyc i wiedziałam, że ludzie tam się wybierają i że jest to - ten *fakt* - coś bardzo wielkiego. Po raz pierwszy w dotychczasowych dziejach całej ludzkości nasz satelita był nie tylko bogiem różnych wyznań, nie tylko kalendarzowym wyznacznikiem, czy też obiektem westchnień zakochanych. Był celem do osiągnięcia, jak kilka setek lat wcześniej celem mieszkańców "Starego Świata" były nieznane kontynenty.

Jak niegdyś młody Robinson Cruzoe, z głową rozpaloną wyobraźnią, wsiadł 1 września roku 1651 na obcy statek i rozpoczął przygodę swego życia, swoje zmierzenie się z oceanem, tak ja, dziewczynka, nad ranem 20 lipca 1969, sama przed telewizorem, wsiadłam na statek kosmiczny i wylądowałam razem z jego załogą na Morzu Spokoju. Na Księżycu. Naznaczyło mnie to na całe życie. A wszystko zaczęło się od wyobraźni (wszystko się tam zaczyna). Wyobraźni karmionej książkami. Dlatego za najważniejszy wynalazek zeszłego tysiąclecia ogłaszam druk, dzieło mincarza i złotnika mogunckiego Johannesa Gutenberga. Najprawdopodobniej jest to faktycznie najważniejsze osiągniecie (najbardziej znamienne w skutkach?) umysłu ludzkiego ostatnich dziesięciu stuleci.

Gutenberg pracował nad swoim wynalazkiem lata całe. W roku 1454 świat ujrzał Biblię powieloną aż 180 razy dzięki jego ruchomym czcionkom. W roku 1500 wydano już około 40 tysięcy tytułów w nakładzie 8 milionów egzemplarzy. W drugiej połowie XX wieku wiedza zawarta była w niezliczonych księgach, książkach, pismach, w niezliczonych archiwach, bibliotekach, a także w niezliczonych prywatnych mieszkaniach. Słowo pisane i dowolną liczbę razy powielane w nieprawdopodobny sposób poszerzyło wyobraźnię ludzi. I to był ten pierwszy horyzont, który otworzył się przede mną.

Kolejny horyzont był zgoła innej natury. Wychowałam się w Krakowie tuż koło Wawelu. Planty Dietlowskie dzieliły miasto na dwie nieomal rozłączne części. Z jednej strony Kraków, z drugiej krakowski Kazimierz, do początku lat czterdziestych dzielnica żydowska. Rojna, gęsta, barwna, bogata i biedna, biedna i bogata. Jeden z najważniejszych ośrodków myśli chasydzkiej w Europie. Synagogi, cmentarze, ulice, domy, podwórka i ludzie, ludzie, ludzie. Gdy ja tam chodziłam, była to dzielnica-widmo. Nam, dzieciom, nie wolno było przekraczać dietlowskiej granicy. Na Kazimierzu osiedliła się dziwna społeczność. Na ulicach nie było bezpiecznie. Ale i tak się zapuszczałam. Coraz głębiej, coraz odważniej.

Dziwne nazwy ulic, sypiące się kamienice, ciemne, cuchnące klatki schodowe. Cmentarze zarośnięte zielskiem, zamknięte na głucho. Nikt na nie nie chodził. Krzyże? Nie było na nich krzyży. Były wyblakłe, niezrozumiałe znaki na pokrzywionych nagrobkach. Znaki, których nie uczyła nas szkoła. "*Co one znaczą?*" - pytałam dorosłych. Opowiadali. Że oto tuż przede mną była tam tętniąca życiem Atlantyda. Że Kraków jeszcze przed kilkoma dziesiątkami lat był zupełnie innym miastem. A świat zupełnie innym światem. Sięgnęłam po kolejne lektury. Pojechałam (szkoła pojechała) do nieodległego, małego, nieważnego miasteczka Oświęcim, znanego światu pod straszliwą nazwą Auschwitz. Wróciłam dorosła. Odtąd już nigdy nie będę dzieckiem. Poznałam *SIŁĘ RAŻENIA HISTORII*.

Ale to było później. Na razie lądowanie na Księżycu jeszcze przede mną. Rywalizacja o podbicie kosmosu to była z jednej strony Rosja, z drugiej Ameryka. O Rosji mówiło się Rosja ("Związek Radziecki" mówiła szkoła i brzmiało to sztucznie). Tu wabił kolejny horyzont. Niby my i Rosja to było jedno. A jednak kibicowaliśmy Ameryce. Ameryka była jedną wielką krainą marzeń. Ach, te paczki z Ameryki. I kino. Hollywood, nieżyjąca już a przecież żywa Marilyn Monroe, westerny, kino, kino, kino...

A zatem następna ważna data tysiąclecia: 12 października 1492 roku. Krzysztof Kolumb z pokładu "Santa Maria" odkrywa obie Ameryki. Dla nas. Sam najprawdopodobniej nie wie o tym; Ameryka nie zostaje nazwana jego imieniem. Kolumb umrze w biedzie.

Lecz siła, która pchała go do tak niepewnej wyprawy, musiała być przeogromna. Nie zapominam tu o kolejnych

Atlantydach: Z 50 milionów mieszkańców obu Ameryk w roku 1480, w XVII wieku zostało zaledwie 4 miliony. Za to przez trzy wieki handlu niewolnikami, w niechlubnym trójkącie: Europa - Afryka arabska - Karaiby, przerzucono do Nowego Świata miliony mieszkańców Afryki. Jedna trzecia z nich wliczona była w straty, bo warunki owego przerzutu zbliżone były do piekła na ziemi, jak opowiadali ci, którzy "przerzut" przeżyli.

Ameryka ponad 500 lat po "odkryciu", a raczej dokooptowaniu do Starego Świata, bo przecież była wcześniej tam, gdzie była, żyli tam ludzie i do głowy im nie przyszło, że dopiero muszą zostać "odkryci" i to na swoją zgubę, ta Ameryka w XX wieku wywindowała się na lidera kultury. To ona dyktuje mody, stawia warunki, przewodzi. Czy ktoś tego chce czy nie. Wszechobecna amerykanizacja jest faktem. Pierwsi europejscy osiedleńcy w Nowym Świecie to byli niemalże straceńcy. To byli ludzie, którzy pokonywali strach, opuszczali miejsca urodzenia i szli w niepewne. Odrywali się od rodzin, języka, korzeni, od kultury, w której rośli i która ich zobowiązywała i wiązała. Rwali te więzy i rozpoczynali od nowa. Można o Ameryce powiedzieć co się chce, ale jedno jest pewne: jest dynamiczna. Marzenie o Ameryce towarzyszyło mojemu dzieciństwu.

A kino podsycało to marzenie. Dlatego kolejna ważna w moim (i nie tylko moim) życiu data: 28.12.1895. Próby w różnych laboratoriach doprowadziły do tego, że bracia Auguste i Louis Lumière pokazem filmu o pędzącej lokomotywie w paryskim "Grand Café" przy Boulevard des Capucines dla widowni złożonej z 35 widzów rozpoczęli epokę kina. Nie zdawali sobie sprawy z wagi swojego wynalazku. Tymczasem to właśnie dzięki "środkowi transportu", jakim jest film, "*the American way of life*" stało się z czasem "*a global way of life*". Wyobraźnię wzbogacił świat iluzji, jakim jest świat kina. Zaraz potem wynaleziono radio i już tylko krok do pomysłu, że skoro można na odległość przesyłać impulsy elektromagnetyczne, które odbiera się jako głos, to dlaczego nie obraz?

Tak nastał styczeń 1928 roku. Inżynier Ernst F.W. Alexanderson i jego zespół wyemitowali "*Live from General Electric's Radio Laboratories in Schenectady, New York...*", obraz, który dotarł do trzech istniejących wówczas odbiorników telewizyjnych. Obraz ten to mężczyzna, który zdjął okulary, założył je ponownie i puścił dym z papierosa. Obraz obiegł trzy ekrany podobnie jak dziś obiega miliony. Jeden obraz powielony miliony razy. Na żywo.

Wyobraźnia ruszyła. I w niedługim czasie oplotła całą planetę. Gdy przyszłam na świat, świat otoczony już był niewidzialną gmatwaniną fal opowiadających wszystko o wszystkich. Pierwsze czarno-białe filmy oglądałam u przyjaciółki, bo u nas w domu odbiornika telewizyjnego długo jeszcze nie było.

Kolejna data: 14.7.1789. Rewolucja Francuska pod hasłem "*Liberté, Egalité, Fraternité*". Dla mnie ważna, jak dla całego świata. Daleko posunięta równość społeczna, rozwój indywidualizmu, wolność osobista, wolność wyboru... wszystko to było już w toku, gdy przyszło mi ujrzeć świat. Nawet ten "gorszy", komunistyczny. Bez tego nie mogłabym zawrzeć wielu przyjaźni, nie mogłabym pewnie kochać kogo bym chciała, nie mogłabym uczyć się gdzie się uczyłam, mieszkać gdzie chcę, a nawet ubierać się jak chcę.

A tu przychodzi mi do głowy kolejne osiągnięcie w dziejach ludzkości, które dokonało się przede mną: w roku 1848 Amerykanka Elizabeth Cady Stanton ogłosiła w "*Women's Rights Convention w Declaration of Sentiments and Resolutions*" dwanaście uchwał domagających się równości praw kobiet i mężczyzn. Dwadzieścia lat później powstało *National Society for Women's Suffrage*. Sufrażystki, emancypantki, feministki, i ja na końcu tej listy. Zdeklarowana feministka. A właściwie na dobrą sprawę ja, wolny człowiek o prawie nieograniczonych prawach i możliwościach. A za mną została Atlantyda szacowana na około trzy miliony mieszkanek, bo były to głównie kobiety. W ciągu trzech wieków polowań na czarownice stosy pochłonęły tyle ludzi ile teraz wynosi połowa Szwajcarii. Często razem z nimi ginęły w męczarniach także ich zwierzęta, koty, psy, które tutaj też chcę opłakać.

Kolejna data "mojego życia" jest niedokładna, jak niedokładny jest temat, którego dotyczy: lata 1503-1508. W latach 1460-1516 żyje w Holandii artysta malarz, Hieronymus Bosch. O jego życiu wiemy mało. Nawet data urodzin jest niepewna. Pozostało po nim około czterdziestu obrazów. Najsłynniejsze to "Ogród rozkoszy" i "Sąd

Ostateczny". Porusza w nich tematy ostateczne: wcielenie Ducha. Boskie Światło tchnięte w Pierwszego Człowieka. Ból i dramat istnienia. Temat ten jest odwiecznym przedmiotem *SZTUKI*. Jest zmaganiem się ducha z materią. Asymptotycznym zbliżaniem się do Prawdy. Artyści podejmą próby najprzeróżniejsze. Będzie ich wręcz nieskończenie wiele. Koniec Świata w obrazie artysty to niezliczone końce świata ludzi. Współcześni Boscha określali swego genialnego "współmieszkańca" mianem "wariata." Ileż wojen i rewolucji potrzeba było, żeby móc spojrzeć na jego sztukę, na sztukę w ogóle, oczami wolnego człowieka.

http://www.youtube.com/watch?v=8Y0udqmtgbk

Ale to w "moim" świecie. W tym, który 9.11.1989 powstał z dwóch światów połączonych po zwaleniu muru berlińskiego. Jest jeszcze i "Świat Trzeci." Trzeci, bo... wyłączony ze świata. Tysiąclecie, które witamy, zapewne przyniesie (bo jakże by nie?) zintegrowanie i tego świata w jeden świat, jakim jesteśmy. I myślę - tu pokuszę się o małą prognozę na przyszłość - myślę, że będzie to wynikiem dialogu, jaki już się rozpoczął i jaki trwać będzie między kobietą i mężczyzną. W Tysiącleciu magicznej "Dwójki."

Tu kolejna "moja" data: rok 1998, który przyniósł światu debiut pisarki hinduskiej Arundhati Roy, "Bóg rzeczy małych". Książkę przetłumaczono na wszystkie najważniejsze języki. Arundhati Roy pisze o zwalczaniu uprzedzeń kastowych w Indiach, o zwalczaniu uprzedzeń w ogóle. "Zwalczanie" to męskie słowo. Pisarki takie jak Roy pokazują, jak może się to odbywać na sposób "kobiecy". Cóż znaczy "kobiecy"? A to, że przemówiła kobieta. Ani więcej, ani tym bardziej mniej. I będzie gadać przez całe następne tysiąc lat. I oczekiwać feed-back'u. Bo warto razem gadać. Mężczyźni tyle potrafią! Kobiety również! A ich dzieci... !?

Informacja w dzisiejszych czasach świat obiega równie szybko jak myśl. Wróćmy do roku, w którym mur berliński nie był jeszcze ani faktem, ani przeszłością, do roku, w którym Berlin szykował się do koszmarnej wojny narodu niemieckiego z "całym światem," do AD 1936. Bo w tym samym narodzie przyszedł na świat niejaki Konrad Zuse. 26-letni samouk skonstruował maszynę, którą nazwał "Z1." Urządzenie to "umiało" liczyć mechanicznie. Pięć lat później, gdy świat szalał wojną, Herr Zuse nauczył maszynę pracować na impulsach elektrycznych. "Z3" "dawała się" programować. Tak powstał prototyp dzisiejszego komputera. Noosfera (*noos* = z gr. mózg, umysł), sieć telematyczna (telekomunikacja + informatyka) w ciągu niespełna 50 lat oplotła całą kulę ziemską.

Gdy pisałam te słowa, miliard mieszkańców planety Ziemia oczekiwał przy swych aparatach na obrazy z planety Mars. Immanentna kruchość rzeczy sprawiła, że nie doczekał się. Ale tylko tym razem. Po utracie lądownika, główny uczony tego programu powiedział "*we're doing this to reach beyond ourselves*" - "*robimy to, żeby dosięgnąć poza siebie samych*". Jest to, był to prawie zawsze, proces niepowstrzymywalny.

To dzięki wirtualnej rzeczywistości o jaką poszerzyła się wyobraźnia czytasz Szanowny Czytelniku te słowa. *Zwoje* to polskie pismo internetowe. Jego redaktor mieszka w Albercie, w Kanadzie [2], autor wiersza - motta, Aphilommen (z gr. "Przyjaciel Ludzi") w Kalifornii, ja piszę te słowa w Szwajcarii. Naszą znajomość zawarliśmy przez Internet. Tak się dzisiaj ludzie ze sobą poznają na terenie "globalnej wioski," której jesteśmy mieszkańcami. Jak będą poznawać się dzieci naszych dzieci? Jeszcze raz pokuszę się o prognozę: myślę, że pokolenie zaczynające życie z "3" na początku daty swojego urodzenia może być pokoleniem szczęściarzy, którzy nawiążą kontakt z innymi we Wszechświecie. Z innymi "Dziećmi Wszechświata". Myślę, że dialog trzeciego tysiąclecia ich do tego przygotuje. Pozdrawiam ich, ja mieszkanka "mojej" Atlantydy. Pozdrawiam, każda kolejna Atlantydo, która będziesz. Ave!

Post Scriptum: Kogo nie wymieniłam? Prawie wszystkich: Kopernika, Pasteura, Einsteina... Gdy urodziłam się ich dokonania były oczywistością...

* * *

Tekst ten napisałam pierwotnie dla www.zwoje-scrolls.com i nadal tu jest (niczego nie zmieniam).

I o książkach, w tym najważniejszego dla mnie autora, Stanisława Lema, osobny, dodatkowy tekst na Sofijonie.

Napisałam też dwa teksty o samym Lemie na portalu Racjonalista.pl., jeden z nich nosi tytuł "Nie tak dawno temu w domu Lema" (opublikowany także na Sofijonie, link poniżej) oraz "Lema nie ma mamy memy Lema".

PS.PS. Andrzej Kobos, założyciel, autor i redaktor Zwojów-Scrolls, gdzie w 1998 zaprosił mnie do publikowania moich tekstów i skąd przerzuciłam dzisiejszy tekst (12.5.2013) od wielu lat mieszka głównie w Krakowie robiąc tu niezliczoną ilość wywiadów z krakowskimi (głównie krakowskimi) naukowcami (lekarzami itd.). Tu rozmowa z prof. Vetulanim o jego dzieciństwie i rodzinie (bardzo ciekawy!!!), który będzie (nie po raz pierwszy) gościem naszego WOR-u (Wszechnicy Oświeceniowo-Racjonalistycznej PSR-u [3], za którą od marca 2013 odpowiadałam organizacyjnie razem z Adam Jaśkowem, dotychczasowym organizatorem) w czerwcu 2013:

wywiad Andrzeja Kobosa z prof. Jerzym Vetulanim - o wczesnych latach i rodzinie Vetulanich

* * *

Hieronim Bosch – Wizje geniusza
13 luty – 8 maja 2016
Het Noordbrabants Museum
czynne codziennie w g. 9-17
Verwersstraat 41
’s-Hertogenbosch, Holandia

Holandia ogłosiła rok 2016 "Rokiem Hieronima Boscha" z okazji 500-lecia śmierci artysty (więcej ilustracji)